

Rodziny polskie

Z Alma Aty do Warszawy jechał parę tygodni. Miesiąc koczował na dworcu w Moskwie. Codziennie stał w tej samej kolejce do kasy i słyszał niezmiennie „swobodnych miast już nie”. Ale to nic, w tamtą stronę podróż trwała znacznie dłużej, z wieloletnim postojem na Syberii.

W warsztacie samochodowym na Ursynowie Dominik Plater (tak, tak „z tych” Platerów) w drelichowym ubraniu, w czapce uszance grzebie w silniku „malucha”. Czasem układa jakieś narzędzia, zamiecie... Tak zarabia na przeżycie. Tam, w Kazachstanie miałby sto rubli renty, no teraz może nawet sto sześćdziesiąt i dach nad głową. W Polsce siedzi już drugi rok, nie ma tu jeszcze niczego. Dowiedział się, że na obywatelstwo musi czekać pięć lat. Choć w radzieckim paszporcie w rubryce narodowość ma wpisane „paliak”. — Odebrał mi nie tylko obywatelstwo, także duszę.

— W czterdziestym pierwszym skończyłem dwanaście lat. Któregoś dnia wyciągnęli nas o świcie z domu w Degulach na Wileńszczyźnie. Siostra poszła z matką, mnie zostawili z ojcem. Zawieźli nas do Nowej Wilejki, tam mężczyźni popędzono do łaźni. Chłopcom kazali czekać. Ojciec zabrał wszystkie moje ubrania, jakie zdążyliśmy zapakować. Cały dzień czekałem na ojcę, pod wieczór kazali nam iść do pociągu, tam była matka i siostra. Ojciec już wtedy leżał, pewnie gdzieś w zbiorowym dole.

Jechaliśmy parę tygodni, a może miesięcy w bydłych wagonach. Mama oślepla w pociągu. W końcu pociąg zatrzymał się w Altajskim Kraju. Zostaliśmy w łagrze Barnaul, to znaczy ja z mamą. Siostra Stefania już prawie dorosła (miała wtedy 16 lat) pojechała jeszcze dalej, do Komsomolskiego. Spotkaliśmy się dopiero w pięćdziesiątym ósmym roku, w centrali łagrowej, w Czerwiance. Okazało się, że jesteśmy częściowo wolni, to znaczy nadal musieliśmy pracować w lesie, tyle że dostawaliśmy już jakieś ruble. Stefania przyjechała z małym synkiem. W łagrze wyszła za mąż za Polaka ze Lwowa, zaraz potem została wdową.

Tam w Czerwiance pomyśleli przez chwilę, że może uda się powrócić do Polski.

— Bo przecież jeszcze w czterdziestym siódmym zwolniono z łagru wszystkich Żydów. Pamiętam to dokładnie, to było jakieś wydarzenie niecodzienne w rzeczywistości wyznaczanej hukami siekiery i zwałanymi pniami drzew.

Syberyjski las nie miał uroku lasów, jakie zapamiętał z dzieciństwa, domowych lasów litewskich w majątku ojca, a właściwie w 150-hektarowej resztówce, gdzie się urodził. W oglupiającym codziennym łomocie siekiery zacierały się powoli obrazy rodzinnych pól, jeziora, białe ściany dworu, twarze przodków oglądane na starych portretach, bale dziecięce, kuligi, rodzinne

zjazdy. Obraz rodziny kruszył się i wypadał z pamięci. Może dlatego nigdy potem nie umiał stworzyć nowej, własnej rodziny.

Szybko wypadały z pamięci francuskie słówka pilnie wciskane do głowy przez domową nauczycielkę. Wypadały także zęby, a ręce grubiały. Trzeba było odnaleźć w sobie instynkty dzikich, pierwotnych ludzi: zrobić garnek z kory, tak aby dało się w nim ugotować zupę. Zupy były przeważnie z trawy, czasem z grzybów, zimą z szyszek. Dominik Plater szybko nauczył się przyrządzać takie dania, dokarmiał nimi niewidomą matkę, która nie pracowała przy lesoróbce, więc dostawała tylko połowę dziennej normy chleba — dwieście gramów.

— Te wszystkie sposoby ratowania się bardzo nam się przydały potem również w Kazachstanie. Życie w Warszawie także wymaga wytrwałości i hartu.

Dalecy krewni z Warszawy (Dembińscy) przysłali wprawdzie zaproszenie, ale kiedy na dworcu zobaczyli strzęp człowieka, starego, schorowanego pana Dominika, od razu stracili ochotę aby dalej się nim zajmować. Woleliby pewnie żeby w ogóle nie istniał. Odesłali więc szybko krewniaka na działkę, gdzieś pod Olsztynem. Tam gospodarował sobie przez pół roku. W Rosji przzwyczaił się do samotności. Potem szczęśliwie poznał Józefa Wewsenhoffa, który pomaga mu w peregrinacjach po urzędach, ministerstwach, stowarzyszeniach, od Związku Sybiraków po ambasadę radziecką.

— Teraz nie już tam nie załatwię, bo ambasada jest rosyjska, nie radziecka, a ja nie jestem obywatelem Rosji. Żeby pozbyć się radzieckiego paszportu to nie jest taka prosta sprawa, Rada Najwyższa decyduje o tym przez pięć lat. W Związku Sybiraków owszem, mówią, że pomogliby, ale nie mogą, bo nie mam polskiego obywatelstwa, a jakie mam teraz obywatelstwo, sam nie wiem. Kto ja jestem, przecież nie żaden Czukcz.

Siostra Stefania przyjechała w tym roku pierwszy raz do Polski, na zaproszenie francuskiej telewizji, która kręciła film o syberyjskich zesłańcach i odnalazła ją w Kazachstanie. Tydzień siedziała w Paryżu, a potem miesiąc w Warszawie. Paryż przeraził ją zupełnie, pierwszy raz po pięćdziesięciu latach zobaczyła jak wygląda normalny świat. Polską była zachwycona. — Gdyby tak można znaleźć tu jakiś kąt — westchnęła — przyjechałabym tu

zaraz, choć mam prawie 70 lat i schorowane nogi. Tylko moja emerytura, 160 rubli, to ile to może być złotych — zastanawiała się. Wyszło, że w okolicach czterdziestu tysięcy.

W PCK obiecali, że mogą dać talony na darmowe zakupki, jakaś dobra dusza ofiarowała ubranie i buty. Ale nie o to przecież chodzi. Dominik Plater nie oczekuje jałmużny. Uważa, że przez swoją katorżniczą pracę w niewoli zdobył prawa do emerytury, opieki lekarskiej i dachu nad głową.

Rozmawiamy w cichym kącie warsztatu samochodowego, gdzie pracuje. Pan Dominik mieści w rękach czapkę uszankę i drelichowym rękawem ociera łzy. — No, ja nie jestem ciekawym człowiekiem. Do gazety nie mogę chyba nic ciekawego powiedzieć, może tylko tyle, żeby nikt nie miał takiego losu jak mój.

Bezradny wobec przeciwności losu. Jak większość, jak wszyscy niemal Polacy, którzy tam się

znaleźli, nie miał szans na jakieś urządzenie się w życiu.

W sześćdziesiątym piątym roku przyjechali do Kazachstanu. Powiedziano im, że są „wolni” i mogą osiedlić się, gdzie chcą. Natychmiast zdecydowali, że trzeba jechać tam, gdzie ciepło. Ktoś powiedział, że najcieplej może być w Alma Acie. No to pojechali do Alma Aty. Niebawem kupili tam domek, „kamysz” — jak mówi pan Dominik — glinianodrewnianą lepiankę, jakie najczęściej buduje się w strefie, gdzie zdarzają się trzęsienia ziemi.

Dominik zdał jakieś sowieckie egzaminy i dostał prawo jazdy. Potem pracował jako kierowca autobusu. Kiedy jechał do Polski, zostawił sąsiadowi dorobek swego życia, dwudziestoletniego moskwicka.

— To są opowieści całkiem zmyślane — powiada — o tym życiu kulturalnym, o przyjaźni kazachstańskich Polaków, o pol-

skich stowarzyszeniach, o nauce języka. To wszystko tylko propaganda. Nikt tam nie miał czasu na takie rzeczy. Tak naprawdę spośród wszystkich narodów i ras, zesłanych do Kazachstanu, tylko Niemcy potrafili się jakoś zorganizować.

Ja pracowałem na okrągło, nie miałem wolnych sobót ani niedziel. Czasami poszedłem do cerkwi, choć to nie moja wiara, ale chyba nie umiałem się modlić do surowego, prawosławnego Boga. Kościół katolicki stworzyli w Alma Acie Niemcy przesiedleni z Republiki Nadwołżańskiej, ale nie znałem języka, żeby tam chodzić.

Stefania także pracowała na okrągło, w fabryce cukierków. Jej syn inżynier elektryk, z radzieckim dyplomem pracuje w chłodni, ma syna, żona odeszła. W świetach nikt nie przywlezywał wagi do życia rodzinnego.

— Czasami chodziliśmy w gościnę do Bielskich, albo Czerniawskich, polskich rodzin osiadłych w Kazachstanie jeszcze po pierwszej wojnie, ale oni już nawet po polsku nie mówili. Także pracowali na okrągło. Jak my, jak wszyscy tam, po prostu raby, normalne woły robocze, zaprzężone w komunistyczny kłórat, z którego nikt nie może się wydostać.

U progu lat sześćdziesiątych uwierzyli, że mają szansę wrócić do Polski. Żona zmarła w Polsce brata przysłała przesiedleńcze dokumenty.

— Brat Janek, najstarszy z nas, przed trzydziestym dziewięćcioma rokiem studiował już na

„Batorym” w Wilnie. Kiedy NKWD zabierało nas z rodzinnego majątku, Janka na szczęście nie było w domu. Potem zesłano go do Donbasu. Stamtąd uciekł, wrócił na Litwę, a potem załapał się jeszcze na jeden z ostatnich transportów do Polski. Zamieszkał w Gdańsku, był z wykształcenia ekonomistą, ale żył z niewielkiej cukierni. Kilkanaście lat po wojnie Janek odnalazł nas przez Czerwony Krzyż. Zebrał wszystkie ocalałe rodzinne dokumenty i wytrwale deptał ścieżki do rozmaitych urzędów.

Kiedy wreszcie nasze dokumenty nadeszły do Alma Aty i mogliśmy zacząć starania o wyjazd, brat Janek już nie żył. Zjawił się u nas niebawem Jan Plater-Gajewski z Karagandy, udający naszego krewniaka, choć nie wiadomo, z której linii. Ofiarował się, że pomoże załatwić sprawę przesiedlenia. Mijały miesiące, Gajewski nie zjawiał się, w końcu kiedy dotarliśmy do niego, powiedział, że nasze dokumenty zostawił w Moskwie i tam przepadły. — „Teraz już z nami koniec — orzekła Stefania — zostaniemy tu do śmierci.”

Więc z rodzinnych pamiątek ocalał tylko portrecik mojej ciotecznej babki Emilii Plater, który odziedziczyłem po śmierci Janka.

Plater-Gajewski zjawiał się w Kazachstanie, wędził, krążył i znikał. W Warszawie podawał się za mojego brata Janka. W Kazachstanie obiecywał pomoc Polakom, ale mało kto wierzył. Od dawna podejrzewaliśmy, że musi być sowieckim agentem, bo żaden normalny Polak nie mógłby tak swobodnie krążyć pomiędzy Warszawą a Karagandą. W ostatnich czasach oświadczył, że będzie zakładał polskie szkoły. Polakom ze wsi Nikolajewka obiecał, że dostarczą polskie książki i zostawi u mnie, a potem w ogóle nie było ani jego, ani książek.

W telewizji usłyszałem niedawno, że ci, którzy walczyli w „Solidarności” żądają teraz odszkodowań za to, że siedzieli w więzieniu.

— A kto zapłaci tym, którzy stracili wszystko — rozmyśla. Którzy, jak ja, nie z własnej winy, nie mają wykształcenia, majątku, ani nawet dobrych wspomnień. Te najłepsze wspomnienia z dzieciństwa zagłuszył huk siekiery i szum bezkresnych syberyjskich lasów. Czy ktoś w ogóle myślał o naszym losie? Żydów wyciągano z łagrów zaraz po wojnie, o Polaków nikt nie dbał, co w tamtych czasach było oczywiste, ale i dzisiaj niewiele się zmieniło. Władze, choć niby niekomunistyczne, nadal otrzępują ręce.

Ktoś doradził ostatnio panu Dominikowi, żeby zaskarżył polskie i radzieckie władze do Trybunału Międzynarodowego, ale on dziwi się i pyta nieśmiało: — No, jakże ja bym tak mógł zaskarżyć? To chyba nie uchodzi.

LIDIA WÓJCİK

Nie mam nawet wspomnień



Fot. Longin Wawryniewicz